

piątek 8go sierpnia

Drogi Kaziu,

Bardzo dziękuję Ci za życzenia, bez których owa nagroda nie byłaby mi dosyć przyjemna. Chodzi o przyznaną Lechoniowi w 1952 r. Nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W „Wiadomościach” 1952, nr 32 (332) z 10 sierpnia cała pierwsza strona zatytułowana była Nagrodzenie Jana Lechonia; obok informacji o przyznaniu poecie tego wyróżnienia znalazły się teksty przemówienia-laudacji przewodniczącego jury Stanisława Strońskiego pt. Onorate l’altissimo poeta oraz podziękowania Lechonia pt. O nagrodach pisarskich, odczytane na uroczystym posiedzeniu jury nagrody w Londynie 12 lipca 1952 r.. Jestem pełen sceptycyzmu co do tych rzeczy, ale jeżeli traktować to jako rodzaj Imienin z prezentem służbotowym – jest to miła rekreacja, zwłaszcza w naszym życiu, które najbliższe jest określenia „zasrane”. Byłem dziesięć dni tam, gdzie w przeszłym roku – wróciłem, aby zrobić dwie audycje (były do dupy), teraz znów pojedę na tydzień i znów wrócę. Z notatek dziennikowych wynika, że Lechoń spędził w Margaretville czas między 26 lipca a 5 sierpnia; po powrocie na krótko do Nowego Jorku uczestniczył w audycjach radiowych poświęconych Stanisławowi Wyspiańskiemu (6 sierpnia) i Kazimierzowi Wyce (7 sierpnia); po- nownie wyjechał na letnisko 9 sierpnia, a do miasta wrócił 18 sierpnia.. Nie bardzo rozumiem z Twego listu – gdzie byście, a raczej kiedy byście mogli wpakować moją wizytę. Napisz mi to, a z rozkoszą wpadnę na jakieś dwa dni. W Margaretville pisało mi się bardzo dobrze (co zamilczę – Twoim zwyczajem – aby nie zapeszyć), a raczej po raz pierwszy od dawna rozumiałem, jak taka cisza dobrze robi przy pisaniu „na dłuższą falę”. Około połowy lipca pojawiają się w Dzienniku Lechonia notatki na temat pisania sztuki, rozpoczętego w Nowym Jorku, a kontynuowanego – z różnym powodzeniem (wbrew temu, co relacjonował Wierzyńskiemu) – w Margaretville. Na początku poeta notował: „miałem w głowie tylko postanowienie, aby zacząć pisać sztukę – ale żadnego pomysłu ani nawet decyzji, czy to ma być dramat, komedia czy poemat dramatyczny. Nie wiem, czy to pisać po prostu dla siebie, aby coś wypowiedzieć, czy też z myślą o teatrze – jak pensum techniczne. Nie mogąc na nic się zdecydować, zacząłem po prostu pisać, i mam trzy stronicie pierwszego aktu, który dzieć się będzie na tarasie «Café de Flore» w Paryżu. Co dalej – doprawdy nie wiem. Chciałbym, żeby to była wielka komedia, bardzo poważna i bardzo zabawna – tą powagą i tą zabawnością co Wesele Figara. Nie dać się ponieść dialogom, od razu postawić bardzo mocno akcję i parę bardzo ludzkich charakterów, tak żeby dowcipy były tylko rodzynkami w tym cieście. Temat – może Obywatel świata – to dobry tytuł, może Człowiek zza żelaznej kurtyny. O co mi chodzi? O wszystkie nasze czasy. O komizm i tragedię wywrócenia się wszystkiego do góry nogami. Pewno nie uniknę tego, żeby tam byli jacyś Polacy. Pilnować się, żeby nie byli za szlachetni, żeby byli mniej komiczni niż Pułkownik Werfla, ale w każdym razie zabawni” (J. Lechoń, Dziennik, wstęp i konsultacja edytorska Roman Loth, Warszawa 1992, t. 2, notatka z 14 lipca 1952 r., s. 478-488). W następnych dniach pojawia się niemal codziennie informacja o zapisanych „trzech stronicach”, czasem z rozmachem i polotem, ale też i o różnych wątpliwościach, jak poprowadzić akcję i rysunek postaci. Już wkrótce Lechoń notuje: „Kłęska zupełna. Przeczytałem to, com dotąd napisał, i nie wiem, czy zdołam pisać dalej. Nie tylko, że nie mam żadnego pomysłu, co zrobić z bohaterami, ale wszystko od dialogu Collina z Rudnickim wydaje mi się głupie i moralnie podejrzanе. A że ten Rudnicki raz po raz (jak wszyscy zresztą) mówi coś ode mnie – więc pomyślałem ze zgrozą, że to może ze mnie wyszło, z mego skłóconego wnętrza. Jak połączyć farsową intrygę z tymi dygresjami filozoficznymi i czy to jest w ogóle możliwe? Ze zgrozą myślę o jutrze – o tym, że trzeba będzie zasiąść znowu i przeżyć ten problem” (tamże, notatka z 10 sierpnia 1952 r., s. 507). (Józef Targowski copyrightAng., dosłownie: prawo autorskie; tu: autorstwo.) i gdyby to tylko zależało od mojej woli, już by mnie tu w Nowym Jorku nie było, a byłbym bardzo daleko. Jeżeli kiedy od dwunastu lat byłem nastrojony na sensacyjne zmiany w mym życiu, to teraz – ale prawdopodobnie skończy się na niczym. Tutaj woda leje się z nieba, z nosa, z pleców, nie mówiąc o innych częściach ciała. Nikogo nie ma. Przyjechał János młodszy niż piętnaście lat temu, z tym samym akcentem. Mówił, że Melchior Wańkiewicz po zwiedzeniu jakiegoś obozu napisał w artykule, że tają się tam również „kruczowłose niedopałki z krematoriów”. Jak Ci się to podoba? Czy nie uważasz, że trzeba by go zbić po mordzie. Można by to nawet zrobić w formie słuchowiska do Kraju. Otrzymałem dzisiaj od Pani Felicji Kutenowej list, który mnie zdumiał, zadumał i zmusił do odpowiedzi i prośby, aby zapomniała o moim tzw. wieczorze w Bostonie. Mowa o wieczorze autorskim Lechonia w Bostonie, który odbył się 16 listopada 1952 r.; zob. też list z 14 listopada 1952 . Kiedy rok temu blisko spotkałem ją u Gerardów, z niewytłumaczonym dla mnie zażenowaniem tłumaczyła mi, że koniecznie musi zrobić mój wieczór w Bostonie, że to będzie dla Bostonu rozkosz i podobne duperele. W maju napisała mi, że w jesieni, a teraz coś tak niezręcznego, jak list Romera. Nie wiadomo, o jakim jego liście adresowanym do Wierzyńskiego wspomina Lechoń. do Ciebie, coś co sobie mogę tylko wytłumaczyć jej nieobyciem z pisaniem. Cała sprawa była inicjowana poza mną i bez mej wiedzy przez Rysię Lombroso w momencie zresztą, gdy byłem nędzarzem. Pani Kutenowa odpowiedziała jej, że po Twoim wieczorze trzeba będzie długo czekać – co było zrozumiałe – a poza tym odniosła się do tego niechętnie – co już mniej rozumiem. Tak czy owak traktowanie mnie jako jakiegoś natręta bardzo mi się nie podoba i grzecznie dałem temu wyraz w liście. Jak to nigdy nie można wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Nie potrzebuję Ci dodawać, że nie pretendowałem do jakiegoś daru narodowego jak Twój – i że w ogóle najpierw wszczęła to Lombroso, a później ona sama. Rozumiem, że Ci wygodniej będzie oficjalnie nie wiedzieć o tym, co Ci piszę, ale piszę to na wypadek, gdybyś rzecz usłyszał z drugiej strony. Poza tym mam furunkulozę. Inaczej: czyraczność – czyraki mnogie lub rozsianie się czyraka na większej powierzchni ciała., rwanie w ręce, ramieniu (serce?) i szaloną chęć napisać jeszcze coś niecoś przed śmiercią – w każdym razie coraz bliższą. Jeżeli jesteś dobry kolega, to pomódl się, żeby mi się udało to, co piszę teraz. Iza O wyjeździe przyjaciółki notował Lechoń w Dzienniku 25 lipca 1952 r.: „«Les adieux suprêmes des mondains»». Odprowadzałem na statek Izę Landsberger jadącą do Europy. To mnie tak rozstroiło. Już nie mam sił żegnać się i za mało mam i my wszyscy mamy bliskich, aby

wiecznie sobie pozwalać na to doświadczenie. «Les adieux suprêmes des mondains» - przeszedłem to dzisiaj i do tej pory nie mogę się uspokoić. Pamiętam, jak bardzo droga osoba pisała mi z Brazylii, że rozdziela nas «tapete verde» - zielony dywan Atlantyku. I rozdzielił nas na zawsze” (J. Lechoń, Dziennik, wstęp i konsultacja edytorska Roman Loth, Warszawa 1992, t. 2, s. 495). wyjechała do Europy w bardzo złym stanie i bardzo źle ten wyjazd przeszedłem. Poza tym mówią na prawo i na lewo, że jestem stary - ale w gruncie rzeczy wydaje mi się, że jestem ciągle bardzo młodym

Leszkiem